

Stanisław Obirek, *Polak katolik po przejściach*, Wydawnictwo Cis, Warszawa, s. 516.

Stanisław Obirek jest człowiekiem wiary, jakiejś wiary, która ciągle nie traci nadziei. Jego upór w tej mierze – wbrew wszelkim okolicznościom, tym związanym z bezpośrednim doświadczeniem życiowym, z własną karkołomną i bolesną przygodą z Kościołem, i tym, znacznie już szerszym, które łączą się z losami katolicyzmu, z ciemnym i hiperbolicznym w swej mrocznej *mana* skrzydłem tego ołtarza – jest zaiste zadziwiający. Zadziwiający nie tylko dla kogoś, kto – tak jak ja – absolutnie utracił *sensus religiosus* i, opowiadając się za radykalnym i bezpardonowym wręcz antropocentryzmem, ma wszelką rzeczywistość sakralną jedynie za jakąś część kultury i zbiorowego czy też indywidualnego życia. Część istotną wprawdzie, lecz wyzutą zupełnie z wszelkich tęsknot za utraconym Bogiem, za otchłanią takiej albo innej wieczności, i z jakiegokolwiek zbawczego pragnienia. Zadziwiający zatem także dla kogoś, kto – niczym Jean-Paul Sartre – uskarża się na “czarną dziurę”, jaką w jego sercu zostawiła “śmierć Boga”. Zadziwiający wreszcie dla tego nawet, kto krytycznie doświadcza swej obecności w Kościele, lecz nie traci z nim formalnej więzi i liczy na jego wewnętrzną odnowę czy reformę.

Zarazem też, co paradoksalne i może wręcz niepojęte, Stanisław Obirek, mimo rozstania się z instytucją i żarliwej, wielostronnej krytyki jej przeszłych i obecnych znieprawień, swoją wiarę wiąże, wkraczając być może w sferę utopii czy pięknego marzenia, z odmienionym, szlachetniejszym, otwartym na najrozmaitsze postaci ludzkiego losu i najrozmaitsze duchowe wybory Kościołem. Ale z Kościołem, by tak rzec, Feniksem, odradzającym się na nowo ze zgliszcz nie tylko przez świadomość i aprobatę “postsekularnego pluralizmu”, lecz przez przyjęcie go w siebie, uczynienie go jakby rdzeniem i postacią swej egzystencji. W konsekwencji możliwy jest tu jedynie projekt rewolucyjny, który wyłoni się po zgonie starej, klerykalnej, hierarchicznej, represyjnej i na swój sposób imperialnej maszynierii, która utraciła już na dobre, jeśli ją kiedykolwiek miała, całą swą moc i chwałę, która ziejże duchową i moralną zgnilizną, która – jak widzieli papieństwo reformacyjni polemici (Obirek nie używa owej metaforyki) – stała się “Wielką Nierządnicą Babilońską” z Apokalipsy Janowej.

Jednak to nie papieństwo i kler są dla mnie najważniejszym punktem odniesienia. Ważniejsze dla mnie jest, że, jak sądzę, tylko radykalna zmiana – albo wręcz obumarcie istniejących struktur – stanowi warunek konieczny pojawienia się nowych form chrześcijaństwa, a dokładniej rzecz ujmując, nowego sposobu zaistnienia tej religii w zglobalizowanym i pluralistycznym świecie. Mówiąc językiem

Nowego Testamentu 'Jeżeli ziarno pszenicy, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity' (Jan 12, 24). Niezależnie od tego, czy są to słowa wypowiedziane przez Jezusa do jego uczniów, czy tylko metaforyczny sposób określania istoty jego nauczania przez chrześcijan drugiego albo i trzeciego pokolenia, dla chrześcijan wymowa tego wersetu jest jednoznaczna – odrodzenie jest możliwe tylko na gruzach starego porządku. W każdym razie warto przeanalizować te nowe trendy w kategoriach antropologii kulturowej, a dokładniej w kontekście konieczności zmiany paradygmatu opisu zjawisk religijnych. Uważam to za niezbędne, bo wszystko wskazuje, że chrześcijaństwo w dotychczasowej formie wyczerpało swój kulturowy i religijny potencjał (s. 55).

Zapowiednie znaki owej apokaliptycznej zgoła transformacji Obirek dostrzega już teraz – przede wszystkim w nauczaniu papieża Franciszka, choć nie przygląda się temu nauczaniu bezkrytycznie. Ważne są jednak dla niego – może nawet ważniejsze – i inne "znaki czasu". Z jednej strony objawiają one wielkie procesy globalne – geograficznego przemieszczania się większości wyznawców katolicyzmu, a zatem sfery wpływów owej religii, z zamożnej i zlaicyzowanej Północy "na południową hemisferę", rewolucję bioetyczną, wynikające między innymi ze spadku liczebności duchownych wzrost znaczenia świeckich w Kościele. Z drugiej strony, zawsze w dramatycznych i szokujących okolicznościach, znamionują one druzgocące lokalne Kościoły skandale natury moralnej (Obirek poświęca im niemało uwagi), w których splatają się w jeden ciasny gordyjski węzeł kwestie władzy, pieniądza, seksualnego rozkietzania, politycznych mariaży ołtarza z rozmaitymi tronami.

Mimo to, jak napisałem, czas papieża Franciszka jest dla Obirka czasem obiecującym. "Encykliki obecnego papieża wskazują na radykalną zmianę w sposobie postrzegania relacji katolicyzmu z innymi religiami przez sam Kościół. I jest to zmiana kolosalna nawet w porównaniu z dekretami soboru watykańskiego drugiego, które słusznie uznawano za teologiczny przewrót kopernikański. Dzięki Franciszkowi katolicyzm wszedł w epokę pluralizmu teologicznego, do czego od wielu lat wzywali przynajmniej niektórzy teolodzy katolicki, tyle że za poprzednich pontyfikatów byli oni traktowani podejrzliwie, a często wręcz pozbawiano ich możliwości nauczania doktryny katolickiej. [...] Dlatego cieszy mnie, że za pontyfikatu Franciszka (choć zarazem martwi, że dopiero teraz) ich dorobek stał się częścią teologii oficjalnej, a nie tylko 'niebezpiecznymi odchyleniami' zwalczanymi przez Kongregację Nauki Wiary. Teraz można już z czystym sumieniem powiedzieć, że czas inkwizycji bezpowrotnie minął, a 'wczorajsi herecy' na dobre zadomowili się w głównym nurcie teologii katolickiej. Piszę o tym nie dlatego, że przywiązuję jakąś szczególną wagę do watykańskich opinii. Po prostu należy odnotować, że katolicyzm powoli akceptuje pluralizm teologiczny i coraz rzadziej używa środków dyscyplinujących wobec ludzi z własnych szeregów, dzięki czemu pojawiają się wewnątrz tego Kościoła nowatorskie propozycje nawiązania dialogu z innymi religiami, kulturami a nawet światopoglądami nieodwołującymi się do religii. Sporo się też zmieniło w stosunku Kościoła rzymskokatolickiego do Żydów i katolickiego antysemityzmu" (s. 66-67).

Wszystkie te stwierdzenia padają w nowym, znacznie poszerzonym wydaniu *Polaka katolika?*. Przydane doń *Wprowadzenie* powiększa bowiem tekst poprzedniej edycji o jedną czwartą bodajże i mogłoby w istocie stanowić całkiem autonomiczny tekst o zgoła odmiennym charakterze. Tam bowiem autor, w akcie fascynującej intelektualnej maestrii, ważnym analitycznym "kluczem", pozwalającym uchwycić najgłębsze i najbardziej ukryte *secretum* katolickiej wiary w jej dziejowym rozwoju, uczynił swoją własną biografię. Jakby zgodnie z użyteczną formułą "widza i uczestnika", zadaną nam ongiś przez Raymonda Arona.

Dzięki temu – nie tylko, jak myślę, przede mną – odstąpiły się rzeczy i sprawy dotąd niejasne, zamglone, a czasem zgoła niepodejrzewane. Takie chociażby, jak pewne sfery egzystencji zbiorowej, właściwej dla plebejskiego, "kotchozowego" (jak mówi Obirek o pegeerach) życia w dobie komunizmu, niezależnego od wszelkich instytucji. "To nie był tylko świat rodziny. To był kosmos, który obywat się bez tekstów, bez komentarzy z zewnątrz. Wszystko tłumaczyło się samo, było oczywiste. Świat to rodzina. Państwa nie było, a Kościół był potrzebny tylko po to, by ten rodzinny kosmos wzmacniać" (s. 97). Albo takie jak polski kult funeralny, w którym ja dostrzegałem już to pokłosie romantycznego objawiania się wspólnoty, jedyne go możliwego w czasach zaborów i okupacji, już to dalekie echo archaicznych, przedchrześcijańskich kultów ("dziadów"). Tymczasem Obirek pisze, odstaniając w tych rytualnych praktykach wszystkie zasadnicze wątki polskiego katolicyzmu, a i – najzwyczajniej – polskości samej:

Polska fetyszacja cmentarzy i grobów (ale tylko naszych, katolickich) to forma ucieczki od rzeczywistości z jednej strony i idealizacji przeszłości z drugiej. A jedno i drugie oznacza po prostu brak czy niechęć przyjęcia odpowiedzialności za teraźniejszość. Ze zmarłymi łatwiej się porozumieć, bo nie mają głosu, nie przedstawiają własnej, alternatywnej bądź sprzecznej z naszą narracją, jak to się zdarza w przypadku żywych. Stąd zapewne ta pomnikomania, wieńce i kwiaty. Swoisty konkurs na znicze, nagrobki i prawdziwe narodowe nekropolie, o takich czy innych panteonach nie wspominając. [...] Nie, nie odrzucam tej formy 'zamieszkania' w kulturze czy polskości. Ma to nawet swój urok. Problem zaczyna się wtedy, gdy zaświaty zaczynają być ważniejsze od tego, co tu i teraz (tak chyba jest i w Polsce dzisiejszej). Wtedy brakuje czasu i energii, a może po prostu języka, by nazwać precyzyjnie świat, w którym żyjemy. Nie chodzi tu przecież tylko o dwie trumny, które jakoby rządzą historyczną świadomością Polaków – marszałka Józefa Piłsudskiego i twórcy endecji Romana Dmowskiego. Trumien obdarowywanych 'mocą większą niż śmierć' jest więcej niż żywych punktów odniesienia, i to właśnie dla mnie stanowi problem (dochodzi do tego duchowe i finansowe zarządzanie tymi zasobami przez Kościół katolicki, do czego jeszcze wrócę). Przekonanie, że dzień Wszystkich Świętych jest ważniejszy od Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, jest powszechne. Nie znam badań antropologicznych, które by pozwoliły wyjaśnić ten polski fenomen, ale być może to właśnie na cmentarzach i w nekropoliach znaleźć można klucz do zrozumienia polskiego poczucia wyjątkowości, a nawet swoistego poczucia, że się zostało wybranym (s. 110-111).

Doliczyć należałoby tutaj wreszcie niestereotypowe spojrzenie na zakon jezuicki, w którym autor spędził około trzydziestu lat. W świadomości powszechnej, której ukoronowaniem była chyba powieść Eugeniusza Sue *Żyd, wieczny tułacz* (1844-1845), Towarzystwo Jezusowe jawiło się (i ciągle się jawi) jako instrument wojującego i kontrreformacyjnego katolicyzmu i środowisko najbardziej złowieszczych spisków. Tymczasem Obirek przypomina rozmaite akty jego kulturowego otwarcia oraz krytycznej myśli, represjonowanej przez kościelnych konserwatystów. Co więcej, w duchowości jezuickiej dostrzega on "szanse na odnowę i odwołanie się do autentycznych źródeł chrześcijańskiego i religijnego doświadczenia" (s. 379), także w Kościele polskim, który zarazem mógłby skorzystać w tej mierze z liberalnej i racjonalistycznej tradycji zniszczonych ongiś nikczemnie przez siebie Braci Polskich.

Jeśli przeczytać książkę Stanisława Obirka (a ja ją tak właśnie czytałem) w kolejności odwrotnej od porządku obecnego wydania – zaczynając więc od wcześniejszej jej postaci, a dopiero potem przechodząc do *Wprowadzenia* – ujawni się pewna rzecz istotna i znów zaskakująca. Oto bowiem, w świetle zachodzących w nim ostatnio wydarzeń, stan krytyczny Kościoła, w szczególności polskiego, zdaje się wciąż pogłębiać, a proces laicyzacji, podsycany przez rozmaite dramaty i skandale, nasilać. Tymczasem wcześniejsze partie tekstu, analizujące stare grzechy i nowe winy katolicyzmu, są bardziej chyba gorzkie w wymowie (może to sprawa autobiograficznego ich charakteru?) niż *Wprowadzenie*, którego *timbre* jest raczej optymistyczny, choć autor gromadzi w nim, budując zresztą tym sposobem doskonałe instrumentarium analiz, rozmaite spojrzenia krytyczne, łącznie ze spojrzeniem Tomasza Polaka, odrzucającego w książce *System kościelny* możliwość jakiegokolwiek naprawy czy reformy Kościoła (którego "jądro" jest ateistyczne, puste w religijnym znaczeniu). To nie tylko sprawa pozytywnej na ogół waloryzacji pontyfikatu Franciszka, ale też chyba wyraz znamiennej dla europejskiej tradycji i intuicyjnie tu odkrywanej zasady, że stan kryzysu jest zarazem, zgodnie z greckim źródłostwem obu tych określeń, momentem krytyki, przeobrażającej go i zapowiadającej lepszy, bardziej pogodny stan rzeczy. Być może tak się wydarzy. Jednak w moim prywatnym czytaniu książka Stanisława Obirka to taki szczególny palimpsest, w którym starsze, ciemniejsze strony nazbyt mocno prześwitują jeszcze przez strony nowe, te mocniej przesyczone nadzieją.

[Zbigniew Mikotejko]